

# Odkąd pamiętam

Zawsze chciałam mieć psa. To było moje największe marzenie z okresu dzieciństwa. Rasa i wielkość nie miały żadnego znaczenia. Najważniejsze żeby BYŁ. Mój czworonożny Przyjaciel, którym mogłabym się zaopiekować. Temat psa był wątkowany w domu bez przerwy. Bez końca wierciłam rodzicom dziurę w brzuchu. Oni jednak odnosili się do pomysłu z dużą rezerwą. Tata niespecjalnie przepadał za psami. Większą sympatią darzył koty, których w dzieciństwie miał w domu kilka. Mama z kolei nie bardzo chciała brać sobie na głowę dodatkowe obowiązki. Jej zdaniem byłam jeszcze za mała, żeby samodzielnie zadbać o psa. Miała również obawy, czy z mojej strony nie jest to chwilowy kaprys. Po tygodniu mogłam przecież zakomunikować, że chcę kota, chomika albo żółwia. Mama postanowiła wziąć mnie na przeczekanie. Wówczas padło magiczne zdanie „Kupimy psa jak będziesz starsza”. Przez kilka lat zdanie to było powtarzane niczym mantra. Negatywne nastawienie rodziców nie zniechęcało mnie jednak na długo. Temat powracał niczym bumerang, ale rodzice byli nieugięci. W końcu wymyśliłam sposób i postawiłam na metodę małych kroczków. „Skoro nie mogę mieć w domu psa, to zgódźcie się chociaż na rybki. Bardzo chcę mieć jakieś zwierzątko” - poprosiłam błagalnie mamę. „W porządku” - zgodziła się i odetchnęła z ulgą, że w końcu udało się przewalczyć temat czworonoga.

Tym sposobem pojawiło się w domu 80 litrowe akwarium, w którym pływały liczne małe, kolorowe rybki różnych gatunków. Akwarystyka bardzo nas wszystkich wciągnęła i stosunkowo szybko pojawiło się w domu kolejne akwarium. Tym razem skalne, o pojemności 200 litrów. Pięknie zaprojektowane, ze specjalnie dobranymi rybami i roślinami. Pamiętam, że przed akwarium leżał biały, puchaty dywan. Często się na nim kładłam i podpatrywałam życie ryb. To było ciekawsze niż telewizja. Mogłam tak leżeć godzinami. Z czasem przyszło trzecie akwarium – 100 litrowe z różnymi odmianami samców bojowników. Specjalnie przystosowane, żeby panowie nie zrobili sobie krzywdy. Każdy bojownik mieszkał w oddzielnej kwaterze, a na całej długości akwarium pływała samica. Przepięknie się przed nią prężyły.

I tak w domu, gdzie początkowo nie było żadnego zwierzaka królowały trzy okazałe akwaria pełne ryb. To był już dobry początek. Mimo, że rybki to zwierzątka mało kontaktowe, czułam się z nimi bardzo związana. Gdy któraś umarła, w domu ogłaszałam żałobę. Pogrzeb w ubikacji był w rodzinie sprawą obowiązkową. Rodzice patrzyli na to z przymrużeniem oka, ale co mieli robić. Musieli się dostosować, nie chcąc zrobić mi jeszcze większej przykrości.

Po rybkach przyszła kolej na następny krok - coś nieco większego, puchatego i bardziej kontaktowego. I tak w domu pojawił się chomik Jogi – mała, niekłopotliwa kulka, do której można się już było poprzytulać. Jego imię to efekt fascynacji filmami rysunkowymi Hanny-Barbery. Miś Jogi był



wtedy moim ulubieńcem. Jogi został z czasem przechrzczony na Jogurta, ponieważ piętro wyżej zamieszkał jego kumpel – chomik Kefir. Niezła była z nich para. Nasz futrzak bardzo zaprzyjaźnił się z moim tatą. W pamięci mam cały czas jak obaj panowie „oglądali filmy”. Tata chrapał leżąc na łóżku, a Jogurt chował się w fałdach jego szlafroka. Najczęściej nurkował mu do rękawa i spał tam w najlepsze.

Bardzo pokochaliśmy naszego małego gryzonia, niestety jak każdy chomik nie żył zbyt długo. Smutno było bez niego i tak pojawiła się w domu pięciomiesięczna świnka morska Mycha. Gdy do nas trafiła, była półdzika i bardzo wyptoszona. Mimo, że poświęciliśmy jej sporo uwagi, nie udało nam się nadrobić braków w jej socjalizacji. Do końca pozostała nieufna i niechętna do współpracy. Była kochanym, ale bardzo głupiutkim świntuchem. Po śmierci Mychy w domu pojawił się jej następcą – maleńkie świńskie dziecko. Urocza, ruda dziewczynka, która po pewnym czasie okazała się uroczym chłopczykiem. Pod wpływem filmu Disney’a o przygodach setera irlandzkiego wybrałam mu mało oryginalne imię – Red (rudy). Nie mogłam mieć w domu setera, więc imię było jego namiastką. Red był przemiłym maluchem. Wiecznie urzędował na moich rękach i pił mleko ze strzykawki. Bardzo się ze sobą związaliśmy. To był mój „mały pies”. Przychodził na zawołanie. Po domu chodził za mną krok w krok. Jak na świnkę morską był niesamowicie kontaktowy i niczego się nie bał.

W tym samym czasie w domu pojawił się Ludwik – zgniłozielony kanarek. Delikatny, filigranowy ptaszek, który na widok obcych przemieniał się w groźnego drapieżnika i z instynktem łowcy przypuszczał ataki z powietrza. Niewielki wzrostem, wielki duchem. Co rano budził mnie pięknym śpiewem. Uroczy słodziak, który bardzo lubił pieszczoty.

Nasz dom zamieniał się powoli w małe zoo. Stopniowo przełamywałam opór rodziców w kwestii zwierząt w domu. Początkowo sceptycznie podchodzili do moich pomysłów i nowych zwierząt, ale dystans szybko malał i w krótkim czasie nawiązywali bliski kontakt z kolejnymi domownikami. Mama, widząc moje zaangażowanie w opiekę nad zwierzętami i ogromną miłość do nich, w końcu uległa i zgodziła się na psa. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Byłam w siódmym niebie! Pozostał tylko jeden problem... Trzeba było jeszcze przekonać do tego pomysłu tatę...

Rozdział pochodzi z książki *Willa Taira - moja przygoda z czarnym terierem*

